№ 11. Warszawa, dnia 14 (2) Marca 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. **1.**
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. **1** kop. **25.**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. **2.** Na prowincyi złr. **2** cent. **30.**
W Poznaniu
Kwartalnie marek **3.** Na prowincyi mar. **3** pf. **50.**
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. **12.**

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał drugi roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Po przeczytaniu „QUO VADIS."

Wielka epopea chrześciańskwa skończona.

Czytelnik, który przeżywał wyobraźnią krwawe sceny martyrologii chrześciańskiej, przechadzał się pobladły pośród lasu krzyżów, pośród żywych, płonących pochodni, patrzył na ginący świat stary, i czuł się przejęty dreszczem nowych świtów — staje teraz zadumany, pragnąc zdać sobie sprawę z otrzymanych wrażeń.

I myśl jego zwraca się znowu ku piaskom areny, ku pełnym płomieni ogrodom cezara, ku tym promiennym postaciom, które, konając w mękach — zwyciężały.

Czas zatrze zapewne w umyśle jego, złotem, fioletem i purpurą malowane wschody i zachody słońca, zatrze barwne obrazy Neronowego Rzymu, rozwieje słodkie i wonne jak kwiaty słowa miłosnej rozmowy kochanków, ale opisu tych kilku zgonów z pamięci jego długo wytrącić nie zdoła.

Oto ginie stary fanatyk, Kryspus, a jako przywykł gromić, i gniewem Pańskim straszyć, i do pokuty nawoływać, tak i dziś dla tych przybitych już do krzyżów, lub gotujących się na mękę nie ma jednego miłosiernego słowa. W godzinę śmierci przeraża ich swoją mową surową, namiętną. Ale w tej chwili, z wyżyn amfiteatru, z pośród widzów podnosi się znany dobrze męczennikom głos apostoła. Głos ten niesie im wyrazy pociechy i ukojenia, a staremu kapłanowi upomnienie: Kryspie, któż ich potępi? Czy Chrystus, który siebie ofiarował za rodzaj ludzki? „Kto powie na tę krew: przeklęta!?"

I tu pada słowo, które jak kropla łzy gasi namiętne gniewy duszy wszelkiej.

„Panie! — usprawiedliwia się starzec — nienawidziłem złego!"

A na to Paweł z Tarsu: „Chrystus więcej jeszcze nakazał kochać ludzi, niż nienawidzić złego."

I od tych słów surowa, wychudła, ascetyczna twarz chrześciańskiego kapłana, opromienia się wyrazem pogody i ciszy. Ale nie odejść w pogodzie temu namiętnemu duchowi! Neron ukazuje się w cyrku, a na jego widok znów oburzeniem i grozą marszczy się czoło męczennika. Wytęża prawe ramię, jakby je chciał oderwać od krzyża, i zdaje się przez chwilę, że je oderwie, i tę krwawą rękę podniesie z klątwą nad głową tego, w którym uosobiła się cała potęga i złość ówczesnego świata. Z ust pada mu straszny wyraz: matkobójca! Nędzarz policzkuje tym wyrazem pana ziemi. Bluźniąc i grożąc Neronowi, tak że truchleją, i bledną dworzanie, stary fanatyk idei Chrystusowej kona.

Potężna to scena. Czytelnik długo duma nad nią z czołem pochylonem. Tysiąc myśli przelatuje mu przez głowę. Jedną z nich czytam wyraźnie: ażeby módz urągać złemu, wznieść się potrzeba do wyżyn męczeństwa.

A śmierć Chilona, czy przypominacie sobie?

Ten Chilo cóż to za artystycznie wykończona postać! Chciwy, interesowny niby Rzędzian jaki, tchórzliwy kłamca niby Zagłoba, przebiegły jak Grek, sceptyczny, jak nim mógł być tylko wychowaniec ginącej cywilizacyi, mściwy jak człowiek podły. Tak, tem wszystkiem on był, ale był przytem i nędzarzem, a kto wie ile to słowo mieści w sobie bólu — kto wniknął w nie, i zrozumiał, jak blizko w nędzy nikczemność graniczy z wzniosłością, ten nie zdziwi się, że nędzarz wpadł w końcu w sieć Piotrową. Pamiętacie go pod smolnym słupem Glauka? Pamiętacie jak się tam ta dusza pod wrażeniem nieprzebranej miłości, niewyczerpanego przebaczenia nagle rozdarła, jak z niej opadła naraz powłoka brudu, i ukazała się czysta, jasna heroiczna, a pokorna? A później czy przypominacie sobie, jak skatowa-

ny, z poszarpanem ciałem, z wydartym językiem umiera na krzyżu?

Po głowie snują mu się myśli ostatnie: „Panie, kąsałem jak jadowity robak, ale byłem przez całe życie nędzarzem, przymierałem głodem, ludzie deptali po mnie, bili mnie, i znęcali się nademną. Byłem panie biedny i bardzo nieszczęśliwy, a oto teraz jeszcze położono mnie na męki, i przybito na krzyż, więc Ty Miłosierny, nie odepchniesz mnie w godzinę śmierci."

Ha, któżby o tem wątpił, Chilonie?!

Niezatartem nigdy chyba wspomnieniem pozostanie dla mnie obraz owego schyłku pogodnego dnia letniego, w którym obu apostołów — każdego inną bramą miasta, prowadzono na śmierć.

Tak subtelnemi i dyskretnemi dotknięciami pióra potrafił autor zaznaczyć różnicę pomiędzy dwoma świętymi mężami, że może nawet nie każdy czytelnik uchwycić ją jest w stanie. Piotr apostoł to jeden z błogosławionych „ubogich duchem," to nie charakter i nie rozum, to tylko serce prostacze, wielkie miłością. On słaby, on po trzykroć niegdyś zaparł się Nauczyciela, on zwątpił o Nim na falach morza, on i teraz odbieżał powierzonej mu trzody, ale on kocha, i w uniesieniu miłości błogosławiąc światu—odchodzi.

Wspaniały jest pochód śmiertelny Pawła z Tarsu. Pogodny, jak ten dzień letni, chylący się ku wieczorowi, idzie pośród pól rozlegających się ostatnim gwarem dziennym, idzie pełen wesela, bo on wie, że to ziarno, które rzucał w rolę, wyda plon. I wspominając na kościoły, które założył był w Azyi, Grecyi i po wszystkich stronach świata, wspominając na tyle tysięcy dusz nawróconych do myśli Bożej, czuje, że dopełnił pracy powierzonej mu przez Pana, i że może odejść w spokoju.

Góry płonęły spowite w ostatnie blaski zachodzącego słońca, rozbrzmiewały dokoła głosy ludzi i trzód wracających z pola, „i była w tem wszystkiem jakowaś harmonia, która z ziemi zdawała się podnosić ku niebu. A Paweł słyszał ją, i serce przepełniało mu się radością na myśl, że do owej harmonii świata dodał dźwięk jeden, którego nie było dotąd, a bez którego ziemia cała była „jako miedź brząkająca i jak cymbał brzmiący."

I tak w ów wieczór letni odeszli obydwaj, jeden wielki miłością, drugi potężny duchem—zwycięzcy pogańskiego świata.

A ty czytelniku, jeżeli znajdziesz się kiedy w okolicach Rzymu, to wśród pagórków albańskich, w prześwietlonem ostatniemi promieniami słońca powietrzu, oczyma ducha ujrzysz bezwątpienia dwie postacie posuwające się zwolna na miejsce katuszy — dwie postacie bardzo białe, bardzo święte i bardzo kochane...

Jakby dla kontrastu z tymi chrześciańskimi zgonami dał nam Sienkiewicz i obraz śmierci pogańskiej. Pamiętacie? Już on wtedy „z hymnu zeszedł do prostej powieści," ale i w tej prostej powieści jak zwykle wielkim okazał się artystą.

Petroniusz kończy śmiercią dobrowolną, nie czekając, aż mu ją wyrok cezara nakaże. Epikurejczyk otoczył się w chwili zgonu wszystkiem co kochał za życia.

Woń fiołków, dźwięki lutni, biesiadne puhary i piękna Eunice przy boku, zamieniają mu ostatnie chwile życia w sen rozkoszny, z którego nieznacznie, słodko przejdzie na Elizejskie pola, a nie przejdzie sam, bo wierna niewolnica chce umrzeć z nim razem. Piękni są oboje, gdy bledniejąc coraz bardziej, oddalają się od życia, a lutnie grają im pieśni miłosne, a woń fijołków unosi się w powietrzu.

Pierwsza ona usnęła mu na piersi jak kwiat uwiędły. On przez chwilę jeszcze poił wzrok widokiem jej cudnej marmurowej twarzy — i tu jest temat do obrazu, który powinien podjąć Siemiradzki — potem odezwał się po raz ostatni: „przyznajcie przyjaciele, że z nami ginie..." nie miał siły dokończyć „biesiadnicy jednak patrząc na te dwa białe ciała podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze, że z nimi ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu, to jest jego poezya i piękność." A nie sądźmy, by Sienkiewicz chciał powiedzieć przez to, że od tej chwili piękno uleciało z ziemi na zawsze; nie, lecz miało już teraz z dobra, jak kwiat z łodygi się wyrwijać.

Z wielkiem upodobaniem namalowany jest obraz tego pogańskiego zgonu. Autora „Quo vadis" jak każdego artystę pociąga ku sobie ten świat starożytny, w którego formach wszyscy przecież kochamy się dotąd, choć wyrzekliśmy się jego ducha. Spokoju, pogody — nie starorzymskiej lecz helleńskiej prawdziwie, nie chciał autor w scenie tej żadnem żywszem szarpnięciem strun duszy zamącić. Bo on „kiedy grzebie w przeszłości popiołach... stają mu w myśli mary takie ładne... że z niemi płakać nie umiałby szczerze..." Więc pięknym i pogodnym pozostać musiał Petroniusz do końca... ale tobie czytelniku zdaje się, że w każdym zachodzie jest trochę smutku, że w każdem konaniu jest coś rozpaczy, że w każdem odejściu jest trochę żalu.

A ten człowiek rozumiał przecie, że z nim kona świat stary, że z nim *odchodzą* bogowie jego, w których nie wierzył, ale których kochał dlatego, że byli piękni... i sądzisz, że zachód Petroniuszowego życia powinien mieć w sobie nieco melancholii...

Tak, on który pisał do Winiciusza „szczęśliwy małżonku królewny-jutrzenki! Wasza nauka nie dla mnie" a mógł dodać jeszcze: szczęśliwy wyznawco wiary-jutrzenki—on który widział świty nowych dni—świty które zaćmić miały wszystko, co było jasnością jego czasów, on nie powinien był umierać tak błogo.

Zapewne! Ale cóż kiedy te dwa posągi białe, takie są piękne...

W szumy lasów, w wiosenne huki rzek zasłuchanym być musiał Sienkiewicz, gdy stanął przed nim Ursus, człowiek puszcz dalekich, zagnany losem do stolicy świata.

Biedny olbrzym! Nauka *Baranka* nakazywała mu umrzeć pokornie, a prawo lasów jego rodzinnych mówiło mu: broń się! I choć miał muskuły ze stali, byłby umarł jak *Baranek*, gdyby nie wydano na mękę i zniewagę tej, którą kochał.

Czytelnicy, wszak nie zapomnimy Sienkiewiczowi tego Lyga o smutnej i skupionej twarzy barbarzyńcy, o błękitnych, zadziwionych oczach dziecka, tego symbolicznego mocarza, który w obronie królewny swojej tura chwyta za rogi?...

H. C.

(*Dokończenie nastąpi.*)

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Ależ Paryż!... podróż!... A co powie stryjenka, która panią tak pilnie trzymała dotąd na pasku?

— Pogodzi się; mama ją przekona. Zresztą, ja jestem bardzo samodzielna—doprawdy! tylko się nie wydaję z tem. Mam już cały plan drogi przez mamę ułożony; będę wiedziała doskonale gdzie się zatrzymać. Zwiedzę Drezno, Monachium, Kolonią.

— Jednak pani chyba nawet na Pragę nie jeździła dotąd bez opieki—wtrącił Janusz, z powierzchowności nie przypisując jej nawet lat dwudziestu, które miała istotnie.

— O, przepraszam! Na święta jechałam sama koleją do Radomia, potem dwie mile końmi, a w wagonie był taki ścisk, i nikt mnie nie zaczepił!

— A, bo z pewnością spotykała pani tylko dobrze wychowanych ludzi, podczas gdy w tak dalekiej podróży jak do Paryża, mogą się nadarzyć rozmaici — rzekł Janusz, szczerze ubawiony jej naiwnością.

Marta wszakże przypomniawszy sobie obowiązującą powagę, nagle zasznurowała usteczka w milczeniu, i dopiero po chwili znów zapytana opowiadać poczęła, jakie listy protekcyjne dostanie przez stosunki rodziców do wybitnych artystów współrodaków, osiadłych na obczyźnie.

Ada w zamyśleniu słuchała jej cichej, jednostajnej mowy.

— Ona do Paryża! — powtarzała w myśli. — Ona tyle widoków, projektów!... za granicę na lat parę!... A czemużbym i nie ja? Zdolności mam większe stokroć, toż nie smaruję tak haniebnie, wszyscy to mówią... Zresztą mniejsza o talent! Artystką nie będę, przynajmniej z nią współzawodniczyć o sławę nie myślę!... A raz widzieć Paryż, dostać się w to ognisko ruchu, życia, na tę wolność, w świat szeroki, wielki... Raz tam być, choć raz — a!

Już poczuła się jakoby w zawrotnym odmęcie stolicy świata, napawała piekielnym jego zgiełkiem i gwarem, duszą całą zanurzała się w wirze i w szale tamtejszego życia.

Nie słyszała też co dalej brzęczała Marta, wciąż pobudzana do zwierzeń pytaniami, jakie Janusz wtrącał.

Lecz po chwili, jakby budząc się, głową wstrząsnęła, oczy rzęsą przesłonięte przez moment, rozwarła, rzuciła w dal — i wstała.

— Zostań tu, poczekaj! — rzekła wskazując Januszowi swoje miejsce a sama pomknęła do innej sali.

Nagle gorączką i niespokojnością owiana, przypomniała sobie, że ma przecież pod ręką choć Piotra Vico i Hubicza, z którym prawie nie rozmawiała. To też gdy ten ostatni nawinął się skwapliwie, czatując na możność zbliżenia, skinęła na niego i siedli nieco na uboczu.

Maryan znowu patrzył w nią z zachwytem i niedowierzaniem, jak gdyby światłość słońca miał przed sobą, a na jej twarzy malowała się pewna łaskawość i przychylność, bo wiedziała, że ten człowiek wierzył w jej „wyższość” — i nie chciała go zawodzić mimo wszystkiego.

Przed trzema laty, gdy pod wpływem jego rozmów i książek, w ciszy wiejskiej zrywała się do szerszego życia, niby do nauki, kształcenia się, do czynu i pracy — wydawała mu się kobietą niepospolitą, drogocennym materyałem na dzielną i zapałem natchnioną działaczkę społeczną. A przytem była w jego oczach kobietą taką piękną i lotną, wymarzonym ideałem dla mężczyzny z szerszemi dążeniami serca i umysłu. Ona w epoce owej nawzajem wierzyła w jego wiedzę i talent, więc odpłacała dziecinnem zaufaniem i uznaniem, które zawiązek jego uczucia wypielęgnowało i rozżarzyło.

Ale czas i okoliczności poczyniły wielkie zmiany przez tych lat parę, odkąd się nie widzieli, a w zupełnie odmiennych warunkach obracali.

Maryan ani nawet przeczuwać mógł, że ona zamiast w sercu uczynić ożywcze ognisko z gorących iskier rzuconych przezeń w jej duszę, potworzyła światełka, służące do iluminowania ozdobnego przybytku, w jaki przemieniła się sama. Że dalej światełka te zapalała to z tej, to z owej strony, dorywczo, stosownie do potrzeby lub zachcianki, a zawsze dla wywołania efektów tylko, wnętrze tymczasem zostawało w błędnym półmroku, i coraz głębiej się w nim pogrążało.

Ada miała pewną świadomość tego, że odbiegła znacznie od pierwowzoru ideału Hubicza, ale żywiła tak niepomierną dozę dobrego mniemania o sobie, że wcale nie usiłowała zmian w listach maskować. Sama bowiem czuła się w tak pełnej zgodzie ze swym wewnętrznym nastrojem, że w głębi ducha poczytywała się ciągle za kobietę „wyższą,” tem bardziej wobec Maryana, którego poczęła lekceważyć, przekonawszy się o mierności jego uzdolnień. Tylko znów okazać mu jawnie rozczarowanie i nudę, jakiemi ją w obecnych warunkach przejmował, znaczyło postradać jego hołdy, czyli „zranić mu serce,” jak zwykle mówią te nieocenione kobiety, gotowe dziesięciu darzyć jednaką litością. Praktyczniej było wydzielać mu po szczypcie lekką poniewierkę, i przez to zyskiwać opinią znawczyni, a zarazem odgrywać rolę podniety, która pierś rozszerza chęcią: „coraz wyżej, wyżej — za pochwałą, za nagrodą!”

Na tle więc takiego między nimi stosunku prowadziła się rozmowa.

— Po co pan przyjechał, kiedy odradzałam?— pytała chcąc tym zwrotem wytrzeźwić go zarazem i ze złudzeń co do swej wzajemności, jeśli je żywił. — Warszawa nie dla pana. Poważna praca umysłowa tutaj nie popłaca; nie ma dla niej pola zbytu. Poezyi nie można przecie tworzyć na zawołanie; zresztą rozrzucać je po dziennikach, w śmieciach codziennych, nie warto, a tom zbiorowy u nas wydaje się jeden na rok.

— Ależ tyle jest redakcyj... sił jakichś potrzeba im przecie?

— Potrzebują ich, ale każdą indywidualność zmielą. Szkoda dla nich umysłów i ludzi; dosyć wyrobników rozwadniających wszystko na wiersze.

— Czyż pani te stosunki zna tak dobrze?

— Słyszę o nich, słyszę!... tu wszystko się wie i słyszy dookoła. Zresztą pan, według mnie, wcale do dziennikarstwa nie stworzony. Nie ma pan w sobie ruchliwego elementu, ani lekkości pióra. Ostatnia rozprawa, jaką mi pan przysłał bardzo ciężka; może być że dla specyalistów przedstawia ona wartość, ale przeładowana szczegółami, przytem język pełen niemieckich zwrotów, których wy tam nie czujecie.

— Można się tego pozbyć. A ja tylko na miesięcy kilka chciałem się gdzieś zaczepić, aby poznać tutejsze społeczeństwo, prądy i kierunki. Mógłbym w ostateczności dawać lekcye matematyki lub języków.

— Prawda, że ta droga przed panem otwarta, ale ścisk i na niej wielki. Chociaż przy dużych stosunkach—rzuciła w rodzaju nadziei bez obietnic.

I rozmawiając tak, patrzyli na siebie z coraz wyraźniej zaznaczającemi się różnicami wrażeń i usposobień wzajemnych.

W jego wzroku i rysach przebijało rozmarzenie sięgające przeszłości, i zachwyt nad teraźniejszością. Jej uroda bowiem podniesiona strojem i szykiem, którego dawniej nie miała, jej śmiałość i salonowość imponowały mu i pochlebiały poniekąd, co połączone z tkliwością wrodzoną, a wylewającą się po tak długiem upragnieniu, wtrącało go w stan ciągłego zachwytu i onieśmielenia, który wartość papierów jego obniżał.

Ada sztywniała. Lekceważenie wzrastało w niej, uwydatniając się chwilami w niecierpliwości spojrzeń. Wydziwić się nie mogła, że niegdyś człowiek ten nawet na „bezrybiu” wydawał jej się przystojnym, zajmującym, wysoko inteligentnym, i że wogóle prowadziła tę „głupią, przyjacielską” korespondencyą, w której, nawiasem mówiąc, Hubicz ze swej strony umiał wcale korzystnie się przedstawić. Obecnie widziała przedewszystkiem to, że ten „geniusz z powiązanemi skrzydłami,” jak go zwała żartobliwie, przez trzy lata nie zdobył ani stanowiska, ani sławy, stwierdzając przez to niezaprzeczoną nicość swoją. Wszystko też to razem wzięte przejęło ją takiem rozdrażnieniem dla jego ślamazarności, że omal nie przerwała rozmowy nagle i ostro.

Lecz Maryan pod szczęśliwem natchnieniem za temat wziął jej osobę; w lepszym tedy humorze opowiadać poczęła o rozlicznych swych studyach i zatrudnieniach.

— Już z listów odczuwałem, że prowadzi pani życie ogromnie czynne, wprost gorączkowe. Ale są temperamenty, których właściwością jest temperatura wyższa nad przeciętną, które więcej potrzebują ruchu, czynu, jak paliwa. Tak, tak!.. Jednostki takim ustrojem obdarzone, posiadają moc i dar wywierania wpływu na otoczenie, porywania tłumów, zapalania dusz i serc. Jest to prawdą, faktami z życia i dziejów stwierdzoną wielokrotnie — mówił Hubicz, patrząc w przestrzeń, jak gdyby wyłącznie dla siebie formułował te myśli, które jednak uszy Ady głaskały mile. — Tylko pani — ciągnął nagle do niej zwrócony i śmielszy, — pani może zbyt wiele sił i zapału oddaje światu. Ale z drugiej strony przyznać trzeba, że daje pani do tego prawo młodość, uroda, stanowisko, majątek — dokończył z tem większem być może uznaniem dla przywilejów losu, że sam skazanym był na twardą walkę z życiem, na zaprzedawanie czasu i wolności ducha dla chleba.

Ada rozjaśnionym uśmiechem przytakiwać się zdawała: „jużci mam prawo, mam!”

— Wszakże nieraz pisałam panu, że do ponoszenia ofiar nie posiadam najmniejszej skłonności—odparła z minką, która jako wyraz skromności, mogła czarownie skrywać wprost przeciwną prawdę.

Tymczasem w sąsiedniej sali, gdzie ktoś odegrał nieśmiertelnie piękną sonatę „Au clair de la lune,” teraz śpiew męzki dźwięczny zabrzmiał tak ponętnie, że Ada się zerwała.

— O, i tej przyjemności także się nie wyrzeknę!—powiedziała, ale miękkim tonem i z przymgleniem oczu, które zdały się mówić: „bo dusza moja tam się wyrywa.”

I odchodziła.

Hubicz bezwiednie posunął się za nią, lecz po za tłumem słuchaczów, u drzwi zebranych, pozostał.

Wsparł się o ścianę, w cieniu krzewów zgrupowanych dokoła Venus Medycejskiej, na filarze królującej cudną swoją głową, i dumał. Cóż mogło w tej chwili pieścić jego duszę rozkoszniej nad śpiew, muzykę, woń świeżej zieloności? Obraz rusałki unosił z sobą — i miał go przed sobą, choć przemknęła — i znikła ona sama.

Ada bowiem, prześlizgnąwszy się przez zgromadzonych, dotarła ciekawie niemal do samego fortepianu. I tu z przyjemnością stwierdziła, że właścicielem dźwięcznego a obcego głosu jest ów szatyn, który jej uwagę zwracał od przyjścia samego. Zapragnęła widzieć go zblizka. Czuła się istotnie zdolną „porywać tłumy, zapalać dusze i serca” — nie wątpiła, że i jego pozyska, gdy zechce.

Rozkołysana myślą i słuchem stała ze spuszczonemi rzęsami, pozwalając, by cień ich, jako marzenie przesłaniał płomienne, zielonawe oczy.

Lecz wkrótce rozbrajający uśmiech rzuciła Januszowi, który chmurnym wzrokiem ją odszukał; a uprzejmym uściskiem ręki zapewniła Piotra Vico, że daruje mu nareszcie chwilę rozmowy, po skończonej aryi.

Jakoż zanim Oroński zdążył o swoje prawa znów się dopomnieć, już poczęła tłómaczyć rzeźbiarzowi, jaki nawał zajęć nie pozwala jej zabrać się do rzeźbiarstwa, i zapewniała, że pracownię jego niechybnie odwiedzi w dniach najbliższych. Mowę swą zdobiła niezmiernie filuternym wdziękiem dziecka, które pieszczotą chce rozbroić, a wie, że winy są mu z góry przebaczone.

To też Vico nietylko odpowiadał jej z galanteryą dobrze wychowanego człowieka, ale i patrzył w nią rzewnie i z rodzajem tkliwości niewypowiedzianej.

Tu bowiem w salonie, w malowniczem otoczeniu i w świetle wieczornem, a w stroju lekkim, wpółbalowym, czar jej urody w oczach jego stokroć się spotęgował. Sam zaś przeciwnie, wobec roju młodych, eleganckich mężczyzn, cisnących się do niej, czuł się o tyle niżej postawionym niż w pracowni, gdzie miał za sobą sztukę, dzieła i swobodę słowa—o tyle niżej, że uniesienia serca zazwyczaj miewał w życiu zaprawne goryczą. Więc za słowa jej, za uśmiech, za uścisk ręki ciepły, a przy odejściu powtórzony, byłby czoło do stóp jej pochylił, gdyby mógł—gdyby się dało. A że jeszcze przez minut parę stała w pobliżu, jakkolwiek przy boku Janusza, z gorącem uwielbieniem wodził oczyma po jej postaci smukłej, wszystkie pragnienia streściwszy w tych dwu słowach, „byle przyszła, byle przyszła!... byle czasem przychodziła!...”

I nie widział już salonu, kinkietów, strojów, ludzi, współzawodników lepiej uposażonych, szczęśliwszych — czuł tylko znów koło siebie ten powiew czaru i woni młodości — który odurza,

rozgrzewa, duszę przepełniając tęsknotą i żarem.

Ada tymczasem znów doświadczać zaczynała pewnego niepokoju, gdy śmiała Greczynka wysunęła się z pomiędzy słuchaczów i do fortepianu zbliżyła, zamierzając widocznie wystąpić z jakimś popisem, który mógł być nowym jej tryumfem.

Nie małe wszakże było zdziwienie całego audytoryum.

Psyche przerzuciwszy nuty i wytargowawszy się o coś z utalentowanym barytonistą, który jej gorliwie nadskakiwał jak dobrej znajomej, zasadziła go w końcu przed klawiaturą, a sama stanęła na przodzie, i jak szansonistka, śpiewać zaczęła z „Nitouche" aryę miauczących kotków, nie szczędząc przytem figlarnych gestów, minek i zalotnego wysuwania nóżek, z pod nieco uniesionej sukni.

To drugie bezpłatne widowisko wywołało jeszcze rzęsistsze brawo, ale i powódź prawdziwą najrozmaitszych uwag, zuchwałych docinków i konceptów, głośno i ciszej rzucanych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Warszawa, w Lutym 1896 r.

Nie podlega chyba wątpliwości żadnej, że człowiek nauki w pierwszym rzędzie, a po nim poeta i belletrysta wogóle, następnie dziennikarz, publicysta, sprawozdawca lub krytyk — każdy jednem słowem zarabiający na życie piórem, sprzedający lub usiłujący sprzedać płody swojej erudycyi, natchnienia czy talentu—że każdy taki odgrywał od wieków i odgrywa po dziś dzień rolę macoszynego dziecka w naszej społeczności.

Czy tak jest w każdej innej, czy jest w większym, mniejszym, albo w tym stopniu jak u nas, rozbierać w tej chwili nie będziemy, bo nas to do niczego doprowadzićby nie mogło, bo obce korzyści na zmianę położenia rzeczy u nas wpłynąć nie mogą, bo nakoniec nie o cudze troski, kłopoty i niesprawiedliwości chodzi nam w tej chwili, tylko o nasze własne — rodzime — tutejsze.

Stało się tak, że tym którzy uczą i oświecają zadłuża się społeczność, wypłacając zobowiązania swoje uznaniem platonicznem zazwyczaj po ich śmierci dopiero realizowanem — ci, którzy wymownie malują nędzę, niedole i krzywdy społeczne, brną sobie w niedostatku a nawet nędzy po uszy same, a ci, którzy dopominają się o wymiar sprawiedliwości i uznanie dla każdej zasługi, zostali jako ciało zbiorowe po za uznaniem ogólnem i po za sprawiedliwością, aby powiedzieć jasno i zrozumiale.

Dla tych wszystkich zapomnianych, opuszczonych, pominiętych, dopomina się o pewną renumeracyą przedśmiertną w wymownych a pełnych godności słowach szanowany powszechnie nasz autor i publicysta p. Adam Pług, na szpaltach „Kuryera Warszawskiego."

Nie żąda p. Pług od ogółu żadnych szczególnych ofiar i wysiłków, ale wychodzi z zasady, że społeczności cywilizowanej bez nauki, poezyi, literatury i dziennikarstwa wedle dzisiejszego sposobu pojmowania rzeczy, właściwie mówiąc, być nie może. Dalej, że te, jeśli je tak nazwać wolno—profesye, dają u nas pracownikom swoim korzyści materyalne tak niedostateczne, iż wielka tych pracowników liczba bytuje za życia nader mizernie, przed śmiercią dostaje się na łóżka szpitalne, a po śmierci chowaną bywa za składkowy grosz, zebrany przez towarzyszów niedoli. A zważywszy tę wielką dysproporcyą, jaka zachodzi między ważnością zadania a korzyściami materyalnemi, otrzymywanemi za tego rodzaju usługi, dopomina się pan Pług u ogółu o jakieś zwrócenie uwagi na los tych wszystkich, jak ich nazywa— wydziedziczonych.

Juźciż zdawałoby się, że na oponentów — na takich przynajmniej coby jawnie i otwarcie słuszność tych zapatrywań zakwestyonować chcieli, a w następstwie nad projektem samym do porządku dziennego przejść zamierzyli, nie liczył p. Pług z pewnością wszelką, bo ostatecznie nie o co innego tutaj chodzi, jak o początek jakiejś kassy, udzielającej na znośnych warunkach krótkoterminową pożyczkę w razie potrzeby—w wypadkach szczególnych o zasiłek dla wdowy pozostałej bez środków, i poparcie nakoniec dla sierot po takich ludziach — sierot, których bez nauki pozostawić nie może społeczność bez ujmy i wstydu dla siebie samej.

O żywotności społeczeństwa sądzi między innemi świat i z jego literatury także, więc trudnoby istotnie zrozumieć, jakim sposobem przyjść może człowiek do obojętności na tę opinią świata i na losy ludzi, którzy siły swoje temu wyczerpującemu zawodowi poświęcili.

Myśl p. Pługa dopełnił i uzupełnił następnie w innym dzienniku p. W. B. przedstawieniem ze swojej strony, że jakkolwiek patronat p. Pługa może i powinien wydać owoce, jakkolwiek nie godzi się przypuszczać aby powszechność nasza interesująca się temi sprawami usunąć się chciała od przyjścia ze skuteczną pomocą, istniejącej przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności kassie literackiej jakiejś, którą właściwie mówiąc należy wskrzesić, zasilić, czyli postawić na nogi, to nie wyklucza taka pomoc ze strony ogółu wzięcia się do rzeczy samych zainteresowanych bezpośrednio — nie wyklucza ich stowarzyszenia się, składek rocznych, a w następstwie niechaj tam już znajdą się i wpływy obce i zapisy daj Boże największe.

Poraz któryś tedy z rzędu wjeżdża na porządek dzienny sprawa stowarzyszenia się literatów i dziennikarzy, poparta teraz gorącem słowem osobitości wpływowych w świecie literackim, a sięgających wpływami i uznaniem daleko po za tę sferę nawet.

Nakoniec redakcya jednego z pism codziennych większych zadeklarowała postanowienie swoje, opłacania na ten cel stałej miesięcznej kwoty, wynoszącej rubli 10, co gdyby przez inne redakcye wziętem zostało jako przykład godny naśladowania, mielibyśmy w pierwszym zaraz roku do dyspozycyi instytucyi takiej, czy ona będzie się nazywać kassą literacką przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności, czy inaczej — sumę wcale pokaźną.

Poruszyło to wszystko na razie opinią, ale ponieważ za tym dziennikiem nie występuje nikt z gotowością, ponieważ nadto odzywać się zaczynają tu i owdzie głosy, albo osłabiające doniosłość projektu, albo nawet temu projektowi wprost nieprzyjazne, lękaćby się może godziło o losy przedsięwzięcia w zarodku samym, gdyby się sprawa w tym niepożądanym kierunku potoczyć miała.

Wyznajemy, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć celu wystąpień tego rodzaju.

Przesądzanie o ile ofiarność ogółu oświadczy się w tym kierunku lub nie, uważamy za przedwczesne stanowczo.

Wyszukiwanie, jak to mówią, dziur na caliznie projektu, rozróżnianie ludzi nauki poważnej od belletrystów, poetów i dziennikarzy, wykazywanie o ile pierwsi zasługują na wszelkie poparcie, a o ile ci ostatni wynagradzani są po nad wszelkie zasługi, wydaje nam się jak raz na to przeznaczonem, aby wzbudzić oziębłość dla myśli podjętej najsłuszniej i najbezinteresowniej, i jeszcze jednę zwłokę dla tej sprawy zgotować.

Tem mniej zharmonizować się możemy z ludźmi, dla których po za ich przekonaniami własnemi nie ma przekonań godziwych, po za ich sposobem zapatrywania — słuszności i prawdy — z ludźmi u których przeciwnik jest zawsze i wszędzie gotowym dla pocisków celem — z osobistościami nie pojmującemi punktów zetknięcia, w których milknąć powinny urazy, nienawiści i gniewy, wobec doniosłego wspólnego celu i interesów wymagających ochrony solidarnej, a natychmiastowej.

To też całej usilności dołożyćby należało, aby nie wpadła rzecz w ręce tych wszystkich, którym myśl podjęta przez kogoś innego solą jest w oku, z tej jedynie racyi, że się nie w ich głowie zrodziła. Daj Boże, aby się to jak najmniej walkowało bezpożytecznie w pogadankach luźnych prassy peryodycznej — aby odrazu weszło na grunt realny, aby już nadal przynajmniej nikt po Buchmanowsku nie poprawiał ani przeinaczał projektu, a natomiast niech się zdecyduje rychlej do przystąpienia czynnego każdy, kto ma po temu prawo i obowiązek pozostawiając resztę projektodawcom, którzy z pewnością są ludźmi stojącymi po nad wszelkiemi drobnemi nienawiściami stronniczemi i koteryjnemi, a te stanowią tutaj niebezpieczeństwo istotne.

Właściwie mówiąc sprawa cała dzieli się na dwie części: na tę, która obowiązuje ogół myślący i czytający, i na drugą, w której do roli czynnego współudziału poczuć się powinien każdy z pracujących w literaturze czy dziennikarstwie, bez względu na przekonania, opinie i stanowisko jakie w tej hierarchii zajmuje.

Co do pierwszej to dobrze byłoby, aby powszechność nasza raz już nakoniec przekonaną była:

Że u nas ludzie pióra opłakany po większej części prowadzą żywot, bez przyszłości, bez jutra — prawdziwy żywot z dnia na dzień, że najwybitniejsi pomiędzy nimi wynagrodzeniem swojem za pracę nie dosięgną dziesiątej części tego, coby otrzymali, gdyby zamiast w tym kraju urodzili się byli na zachodzie Europy albo w Ameryce.

Że nikogo ten zawód nie zbogacił u nas dotąd, nikomu nie zapewnił nawet bytu niezależnego i spokojnej starości, podczas gdy handelek myślą ludzką prosperuje sobie od dawna już bardzo, pomyślnie zupełnie. Każdemu człowiekowi myślącemu przewagi tego rodzaju nie powinny być po sercu wtedy nawet, gdy idzie o producenta zwyczajnego i przekupnia frymarczącego

jego pracą, a cóż dopiero, gdy artykuł handlu stanowią płody natchnienia talentu, a niekiedy i geniuszu, bo i te wyżyny znajdowaliśmy i znajdujemy w każdej mniej więcej epoce naszego piśmiennictwa.

Projektodawca jak należy wyjaśnił stosunek powszechności do ogółu piszących; nie ma tu właściwie nic do dodania, to też zdaje nam się, że tam gdzie hodowla tulipanów, storczyków i azalij znajduje ofiarodawców, rzucających na ten cel setki tysięcy rubli—gdzie instytucya dzieci zdrożnych otrzymuje zapisy milionowe, godzi się przypomnieć ogółowi, i o dzieciach tych ludzi także, którzy zużywają siły w trudzie wyczerpującym szybciej i zupełniej niż wszelki inny—w trudzie licho bardzo opłacanym a ciernistym i gorzkim po nad wszelkie pojęcie tych, którzy go się osobiście nie dotykali nigdy. Jeżeli jaka praca przypomnieć może Horacyuszowe „Sic vos non vobis" to pewnie ta jedna.

Tego ludziom dobrej woli a podniosłej myśli powtarzać po kilka razy się nie powinno.

Co do pracowników pióra samych, to oczywiście wątpić nawet nie można, że się tej myśli chwycą skwapliwie, że przystąpią czynnie do dzieła, które się poczyna skromnie bardzo, ale którego korzyści na przyszłość obliczyć, ani przewidzieć nawet dzisiaj niepodobna.

A. S.

Z nauki czystej i stosowanej.

Kto kiedykolwiek miał sposobność oglądać domy, drzewa lub inne przedmioty, uderzone piorunem, ten zapewne zastanawiał się nad potęgą mechaniczną iskry elektrycznej.

Znanem jest mnóstwo zdumiewających zaiste faktów, z których dałaby się ułożyć długa a nader ciekawa kronika.

Tak np. potężne dęby bywają często rozsadzone na kawałki, które potem są odnajdywane w promieniu paruset kroków dookoła, kominy fabryczne, mające wysokości po kilkadziesiąt metrów, rozlatują się na pojedyńcze cegły, niby wielkie bomby, ciężkie skały bywają zamieniane na stosy drobnych kamyków.

Oto fakt rzeczywiście godny zaznaczenia:

W dniu 6 Sierpnia 1809 roku piorun uderzył w dom pewnego kolonisty w okolicy Manchesteru. Zewnętrzny mur niewielkiego budynku, postawiony z kamienia, a liczący 90 cm. grubości, 5 i pół m. wysokości i zagłębiony w ziemi na 30 cm., został wyrwany z fundamentów i w całości przeniesiony na kilka metrów, zachowawszy przytem swe pionowe położenie.

Mur ten składał się z 1,000 przeszło głazów i ważył przynajmniej 26,000 kilogr.

Wyobraźmy sobie, jaka olbrzymia siła była potrzebną do poruszenia z miejsca takiego ciężaru!

Albo weźmy inny wypadek, który się wydarzył przed stu z górą laty na wyspie Fetlar (Szetlandzki arch.).

Oto piorun uderzył w skałę mikową, liczącą 32 m. długości, 3 m. szerokości, 1 metr grubości, i w oka mgnieniu rozbił ją w kawałki, z których dwa, ważące po kilkadziesiąt tysięcy kilogramów zostały odrzucone na odległość 100 metrów i wpadły do morza.

Gdyby tę samą skałę chciano rozsadzić prochem, to musianoby użyć 80 kg. tej wybuchowej substancyi.

Fizyka usiłowała wytłómaczyć te uderzające fakty potęgi iskry elektrycznej. Przekonano się, że wielka rozmaitość skutków, wywieranych przez piorun, jest tylko pozorną; baczna obserwacya zawsze pozwala odnaleźć jedną wspólną przyczynę dla wielu wypadków.

Drzewa, jak wiadomo, zawierają dużo wilgoci. Otóż iskra elektryczna w oka mgnieniu zamienia je na parę wodną o wysokiem ciśnieniu, która działa jak dynamit, rozrywając pnie, gałęzie, odłupując korę, psując delikatne naczyńka, rozprowadzające soki, etc.

Prężność pary jest siłą potężną, nic więc dziwnego, że może wywoływać duże mechaniczne skutki.

Ale nietylko para wodna działa tutaj, lecz także ciepło i inne przyczyny, będące z niem w związku.

Powietrze, będące złym przewodnikiem elektryczności, przedstawia dla iskry wielki opór, skutkiem czego wywiązuje się bardzo wysoka temperatura; rozszerzone gwałtownie gazy wywołują zmniejszenie się ciśnienia atmosferycznego na całej drodze, po której przebiega piorun.

Powierzchnia przedmiotu, uderzonego iskrą elektryczną, znajduje się zatem pod słupem powietrza o małej gęstości, podczas gdy od wewnątrz ciśnienie atmosferyczne jest normalnem. Co ztąd wynika? Oto wytwarza się siła, zdolna wyrzucić w powietrze dach wieży, domu, zniszczyć sufity i sklepienia, jednem słowem działająca, jak mina prochu, zapalona wewnątrz budynku.

Dodajmy, że drgania powietrza, przebitego błyskawicą, sprawiają pewnego rodzaju aspiracyę, siłę ssącą ku górze, co jeszcze bardziej potęguje zniszczenie.

W ten sposób daje się objaśnić dużo faktów z pozoru bardzo dziwnych.

Wielkim, zaiste, jest geniusz człowieka, który potrafił nietylko ustrzedz się od pioruna, przy pomocy konduktorów, ale nawet zdołał zaprządz iskrę elektryczną do pożytecznej pracy.

Nie możemy napisać ani jednej pogadanki, ażeby nie nastręczyła się nam sposobność do wzmianki o jakiem nowem zastosowaniu elektryczności, która wciska się literalnie do wszystkich gałęzi techniki, do życia praktycznego, nawet do nauk, które do niedawna nie miały z nią nic wspólnego.

Niemałą rolę odgrywa elektryczność w kolosalnem przedsiębiorstwie, mającem na celu wyzyskanie siły wodospadu Niagary, sławnego na świat cały.

Ta potężna kaskada, jak obliczono, reprezentuje siłę około 10 milionów koni parowych, co się równa 40 milionom koni żywych.

Aż do dni naszych niesłychana ilość energii mechanicznej przepadała bezpożytecznie dla ludzkości, dopiero w ostatnich latach przedsiębiorczy Amerykanie postanowili zaprządz ją do pracy.

W tym celu odprowadzili część wód powyżej wodospadu kanałem, do szeregu głębokich studni, w których ustawili turbiny. Woda, spadająca z góry na dół, wprawia je w ruch, ten zaś udziela się maszynom dynamo-elektrycznym, wytwarzającym prąd elektryczny.

Siła wodospadu zamienia się w ten sposób na elektryczność, która daje się, jak wiadomo, zastosowywać do wielu rozmaitych celów, i może być przesyłaną po drutach na znaczne odległości we wszystkich kierunkach.

Pracę tę rozpoczęto w 1889 roku a teraz właśnie przyprowadzają do końca.

Każda z turbin daje siły 5,000 koni, tyleż rozwija elektrycznej siły, połączona z motorem machina dynamo-elektryczna, mierząca 4 metry wysokości. Razem zaczerpnięto z wodospadu około 300 tysięcy koni parowych.

Woda, wykonawszy pracę w studniach, to jest wprawiwszy w ruch turbiny, odpływa przez tunel, poniżej wodospadu.

Wyprodukowana elektryczność biegnie po drutach do fabryk postawionych w pobliżu. Obecnie prądu z Niagary używa fabryka aluminium, carborundum, pewnego bardzo twardego ciała, które służy do polerowania. Nadto są prowadzone układy co do oświetlania elektrycznością niagarską miasta Buffalo, odległego od wodospadu na 358 kilometrów. Nie na tem jednak poprzestaną Amerykanie, noszą się bowiem z myślą śmiałą przesłania prądu aż do Chicago i do Nowego Jorku, to jest na odległość przeszło dwa razy większą!

Byłoby to coś wspaniałego. Pomyślmy tylko, Nowy Jork oświetlony elektrycznością, otrzymaną z wodospadu, odległego na pół tysiąca z górą wiorst!

„Niagara Falls Power Company," to jest „Towarzystwo do spożytkowania siły wodospadów Niagary," założyło już na zakupionych przez siebie gruntach nowe miasto, które nazwano Echota. Ma ono bezwątpienia wielką przyszłość: skoncentruje się w niem przemysł całej okolicy, gdyż elektryczna siła kosztuje bardzo tanio.

Wodospad, ku zadowoleniu turystów nie utracił nic ze swej imponującej piękności, upuszczono mu wprawdzie trochę krwi, ale nie znać tego wcale, położone zdala fabryki nie mącą bynajmniej czystości powietrza swemi dymami i nie zagasiły tęczy, jaką promienie słońca zapalają w pyłach rozbitej upadkiem wody.

Nawet tacy materyaliści, jak Amerykanie, potrafili uszanować majestat przyrody.

Ta przyroda ma jeszcze wiele tajemnic, które nam odsłaniają ciągle badacze.

W. U.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES
w sprawie działalności i dążeń kobiecych
w Berlinie.

Komitet tego przyszłego międzynarodowego wiecu niewieściego, będzie mieć po raz pierwszy miejsce na ziemi niemieckiej w ciągu tygodnia od 19 Września do 27 t. m. roku bież., i w odezwie swojej do naszego pisma wystosowanej o upowszechnienie tej wiadomości uprasza.

Komitet kongresu rozsyła obecnie zaproszenia do kobiet wszystkich narodowości o przyjęcie udziału czynnego, wzywając wszystkie związki i stowarzyszenia kobiece o wysyłanie delegowanych. Odezwa wskazuje osoby do których zwracać się należy z żądaniem zapisania na listę członków komitetu, z oznajmieniem o przedmiocie, który przybyła uczestniczka poddać zechce

pod obrady kongresu, a niemniej ze wszystkiem co dotycze gościnnych mieszkań w stolicy Niemiec, ułatwień w kwestyach materyalnych i t. p. Oto nazwiska i adresy tych pań: Lina Morgenstern, Berlin, S. W. Grossbeerenstrasse 5; p. dr. Eliza Ichenhaüser, Berlin, Flensburgerstrasse numer 30.

Przejrzyjmy przedmioty, które będą roztrząsane na kongresie w tym porządku i brzmieniu dosłownem jak nam je podaje odezwa, opuszczając wieczór pierwszego dnia, poświęcony na przedstawienia, ułożenie porządku dziennego na cały czas obrad, ustanowienie Prezydyum, które codziennie zmieniać się będzie — na to wszystko jednem słowem co stanowi formalną stronę kongresu.

Obrady trwać mają codziennie od godziny 9 do 12 w południe.

Dzień I. Wstępny rzut oka na obecny stan ruchu niewieściego. Odczyt o pielęgnowaniu dzieci i wychowaniu. Wiadomości o ogródkach dziecinnych, Towarzystwach opieki nad dziećmi — o dozorze kobiet nad publicznemi miejscami zabaw dziecinnych. Sprawozdania ze wszystkich krajów. Dyskussya.

Dzień II. Rzecz o szkołach ludowych. Wyższa szkoła dla dziewcząt (Tochterschule). Gimnazyum żeńskie. Stanowisko nauczycielek w tych wszystkich zakładach. Szkoły wyższe i szkoły zawodowe. Seminarya nauczycielek i ogrodniczek. Sprawozdania z różnych krajów. Dyskussya. Po południu od godziny 5 zwiedzanie na wystawie, mieszczących się w domu szkolnym, wzorów tych wszystkich szkół i zakładów.

Dzień III. Studyum naukowe, szkoły wyższe i uniwersytety. Kształcenie lekarek, dentystek, aptekarek, dozorczyń chorych i akuszerek. Stan obecny i statystyka. Szpitale prowadzone przez kobiety. Pielęgnowanie chorych w koloniach. Wiadomości dostarczane pod tym względem przez przedstawicielki wszystkich krajów. Dyskussya. Popołudniu zwiedzanie na wystawie modeli domów zdrowia. Służba sanitarna i wystawa przedmiotów zostających w związku z hygieną i pielęgnowaniem chorych.

Dzień IV. Głosy w sprawie domowego i publicznego pielęgnowania zdrowia. Wstrzemięźliwość. Zabawy ludowe. Żywienie się ludu. Szkoły kucharskie i szkoły gospodarstwa domowego. Ogrodnictwo i sadownictwo. Rzecz o szkołach ludowych. Zakłady dla rekonwalescentów. Kolonie letnie.

Po południu zwiedzenie szkoły ludowej i szkoły kucharstwa w mieście. Wycieczka do Marienfelde w celu zwiedzenia szkoły gospodarstwa domowego, dla dziewcząt ubogich, należącej do Stowarzyszenia kobiet.

Dzień V. Robotnice. Kwestya zarobków dziennych kobiety w przemyśle. Handel i rękodzieła. Zgromadzenia, Stowarzyszenia i organizacye tychże. Organizacya Stowarzyszeń zawodowych. Kwestya najemnic. Obyczaje. Relacye uczestniczek kongresu ze wszystkich krajów. Dyskussye.

Po południu zwiedzenie wystawy i szczegółowe obejrzenie w specyalnym oddziale urządzeń dotyczących powyższych instytucyj.

Dział VI. Stanowisko prawne kobiety w gminie — jej prawa obywatelskie. Prawo handlowe i prawo o Stowarzyszeniach. Wiadomości komunikowane kongresowi przez przedstawicielki wszystkich krajów o stanowisku prawnem kobiety — jej udziale w instytucyach dobroczynnych i opiekuńczych, w szkolnictwie, i nakoniec—prawo, jakie ma kobieta w poszczególnych krajach pod względem możności sprawowania opieki.

Dzień VII. Udział kobiety w sztuce, naukach i literaturze. Uczestnictwo kobiety w Stowarzyszenia pokoju. Wiadomości i dyskussya. Streszczenie wszystkich na kongresie zapadłych relacyj i postanowień.

Po południu odwiedziny wystawy sztuki. Wieczorem uroczystość pożegnalna.

Oto mamy przedmioty rozpraw na kongresie międzynarodowym kobiecym w Berlinie. To co przedewszystkiem uderza na pierwszy zaraz rzut oka świadomego rzeczy czytelnika, to brak owej antypatycznej cechy, którą na wszelkiej czynności kładzie ten jeden pełen doniosłości i znaczenia wyraz: międzynarodowy.

A nie spotykamy się w tym programie wielce urozmaiconym i rozległym z niczem, coby raziło krańcowością, zniechęcało aspiracyami ponad siły, kompetencyą i możność — z niczem coby przeciwnikom zdecydowanym sprawy kobiecego postępu jakąkolwiek broń podawało do ręki. Szkolnictwo, wychowanie, hygiena, pielęgnowanie chorych i rekonwalescentów, praca zawodowa, zarobki, obyczaje, opieka nad wszystkiem co słabe i upośledzone w prawach, oto przedmioty, które roztrząsać będą między sobą kobiety —przedmioty godne niewątpliwie najpodnioślejszych umysłów i wymagające najrozleglejszego bodaj uzdolnienia kobiecego.

Ze spraw potrącających o emancypacyę stanowiska kobiecego: nauczanie uniwersyteckie, pożądane reformy w prawodawstwach poszczególnych państw o ile te dotyczą kobiety jako jednostki samodzielnej a więc: posiadaczki majątku, z tego tytułu samego—członka gminy czy municypium jakiegoś, opiekunki nieletnich, dozoru szkolnego, wreszcie propaganda i rozszerzanie zakresu działalności Stowarzyszeń pokoju.

Nie ma tu w programie wielkich słów — należy mieć nadzieję, że się i w toku obrad nie znajdą, bo jakkolwiek ma to być wiec międzynarodowy niby, nie zapomną Niemcy, że się wiec na ich ziemi odbywa i nie dozwolą obradom popaść w śmieszność i niedorzeczną gaskonadę.

Szczerze radzibyśmy, aby jakaś część kobiet naszych mogących skorzystać coś ztamtąd, pojechała jesienią do Berlina. Byłaby to może kuracya jesienna tak dobra a nawet lepsza od wielu kuracyj sezonu letniego.

T. M.

Coś niby fatalność.

OPOWIADANIE Z RZECZYWISTOŚCI.

(Ciąg dalszy)

— Nie zachęcająco brzmią te zapewnienia twoje.

— No, bo też zachęcać tutaj... pozwól powiedzieć sobie... Ale co my dłużej o tem mówić mamy. Zrobisz to co musisz zrobić, a stanie się co się ma stać.

Unikała teraz Józia najtroskliwiej rozmowy z rodzicami o zamysłach Edwarda, z nim samym czuła się potrochu skrępowaną i wewnętrzne przekonanie jej przyznawało całą słuszność sceptycznym przewidywaniom matki, która oddawna już na te zabiegi wszystkie spoglądała, niby na jakieś pokuszenia kierowane mściwą ręką fatalności.

Z ciężką głową powlókł się Edward jednego z dni następnych do adwokata. Nie miał nic ułożonego do powiedzenia temu człowiekowi, bo żył w najściślejszem tego słowa znaczeniu po za wszelką tej nieszczęśliwej sprawy świadomością, ale mu się tak na razie wydało, że tyloletniemu sekundantowi ojca w tym jego śmiertelnym pojedynku należało się przecież coś w rodzaju wizyty — jakieś przedstawienie się. Nie wiedział dobrze Edward jakby to nazwać, a nadewszystko nie zdawał sobie sprawy po co idzie.

Zastał, jak to mówią, dzikiego w jego jaskini. Znał tego człowieka od dzieciństwa swego, wiedział o nim dużo szczegółów, ale dzisiaj w tym stanie umysłu w jakim się znajdował i pod świeżem wrażeniem ojcowskiego zgonu, innemi zupełnie przypatrywał mu się oczami. Było coś mimowolnej instynktownej niechęci, a powiększał ją nadto ten jeszcze wzgląd, rzucający się na pierwsze spojrzenie, że żywioł który zabił jego ojca wybornie zakonserwował tę mumią, że ma ona przed sobą długie jeszcze zapewne lata siły i zdrowia, podczas gdy ci, którym usługuje jej profesya, gorzeją szybko w tym ogniu fatalnym.

Przykre jednem słowem wrażenie wywarł tym razem na Edwardzie mecenas B. Co do niego, przypatrywał się on dzisiaj uważniej Edwardowi po raz pierwszy, oglądał go dosyć bacznie, a wreszcie odezwał się swoim nizkim, silnym głosem.

— Dobrze zrobiłeś żeś przyszedł do mnie. Jużciż nie z kim innym tylko z tobą mieć będę odtąd do czynienia. Wypada nam się poznać i to poznać bliżej.

Edward wybąknął coś w guście potwierdzenia, a zarazem miało to ujść za podziękowanie. Taka przynajmniej była intencya mówiącego.

Nie zwrócił na nią uwagi stary palestrant, a przeciwnie idąc za biegiem własnych myśli, odezwał się znowu:

— Dobrze żeś przyszedł. Wy, młodzież fakultetów lekarskich, wogóle macie swoje wczesne a dziwaczne wstręty dla wszystkiego co zostaje w związku z prawem i nawet pysznicie się tem, a przechwalacie. Ja wiem o tem oddawna, ale to nic do rzeczy. Każda sztuka dobra jest byle ją posunąć do doskonałości a o doskonałość tak dobrze trudno tutaj, jak gdzieindziej. Wreszcie ja chciałem z tobą mówić, a nawet zamierzałem posłać po ciebie.

— Czem mogę służyć panu mecenasowi — zapytał Edward grzecznie.

— Czem możesz służyć? Właściwie—niczem, ale przeszkodzić mógłbyś, i dlatego potrzebowałem porozumieć się z tobą. Słuchajże!

Ze śmiercią ojca zmieniło się dużo w tej sprawie—dla mnie przynajmniej. Koszta ponosił dotąd on. Z tobą nie ma oczywiście mówić co o tem, więc ci powiem krótko: Siedź spokojnie, potwierdź pełnomocnictwo moje, nie kładź nosa w to czego nie rozumiesz, i czekaj końca. Powinien być niedaleki.

Edward zapewnił, że gotów jest zastosować się do wszystkiego, czego od niego żądano.

— Dobrze to i nie dobrze, żeś taki pochopny do tego co ci proponuję, ale skoro taki jesteś, to zażądam od ciebie jednego jeszcze zobowiązania. Podpiszesz mi oto skrypt jakiego jeszcze dotąd chyba żaden obrońca od klijenta swego nie zażądał — skrypt nieważny wobec prawa, zgóry ci

to oznajmiam, a mimo to obowiązujący wobec innych trybunałów. Dasz mi tu oto zaraz zapewnienie pod słowem honoru — uważaj: pod słowem honoru, że się nie będziesz ze stroną przeciwną porozumiewał bez mojej wiedzy i woli — nie będziesz próbował ugód i komplanacyj żadnych...

Edward drgnął. Cały świat myśli nowych zupełnie nasunęło mu tych słów kilka. Józia uwolniona od swoich obaw i niepokojów, on sam po za granicami troski o jutro, wszystko zakończone nagle—szczęśliwie—niespodzianie. Czyż to możebne — czy on mógł oczekiwać tutaj rewelacyi podobnej?

— Jakto? Więc oni tam okazują skłonność do zgody.

Stary weteran palestry nie spieszył z odpowiedzią, ale natomiast bacznie obserwował z pod oka młodego swego klijenta. Musiało mu te kilka wyrazów jego sporo dać do myślenia, musiała mu potrzeba tego cyrografu okazać się niewystarczająca już teraz, skoro cofając się stanowczo, odezwał się sucho:

— Ja nie mówiłem, że oni żądają — ja powiedziałem: na wypadek, gdyby zażądano. Podchwytujesz mnie.

Edward zmięszał się. Mecenas tymczasem mówił sobie w duchu: „Poczekajże! Zanadtoś ty jakiś skory i zdecydowany. Gotowoby i słowo honoru być za mało z tobą, a znalazłbyś ty jak widzę sposoby obejścia go i zrobienia tego co ci gorączka podyktuje. Poczekajże! Na ciebie trzeba widzę innego środka.

— O tym skrypcie nie ma co mówić jeszcze— ciągnął dalej. — Przyjdzie czas i na to, zwłaszcza, że to się poniekąd samo z siebie rozumie. Jak wiesz zapewne, ja honoraryów adwokackich nie brałem od twego ojca i mam być zaspokojony po wygraniu sprawy. Jest tu u mnie układ osobny z nieboszczykiem zawarty, z którego treścią zapoznać się musisz i to w niedługim czasie. Tymczasem są rzeczy ważniejsze. Powiedz-że mi krótko: Rozumiesz ty o co tu idzie?

— Właściwie mówiąc: nie wiem nic.

— Nic?

— Można powiedzieć, że nic.

— To nie ma sensu. Jest w tem i niedbalstwo, jest i coś gorszego jeszcze, bo lekceważenie dla pamięci ojca i dla trudu jego życia całego. To jest do pewnego stopnia niemoralne i myślę, że powetować to zechcesz. Juźciż to co jemu zabrało życie, warte być musi tyle przynajmniej, żeby syn okiem na to rzucić raczył. Trzeba się obeznać ze sprawą.

Edward czuł, że go coś przygniatać na nowo zaczyna. Myśli jego przybrały naraz odmienny zupełnie kierunek; zamiast szczęśliwego zakończenia jednym zamachem całej gmatwaniny, które mu błysnęło na chwilę, trzeba było jak widać zanurzyć się w niej nieuchronnie po szyję samą. Tego żądano tutaj od niego wyraźnie. Dziwnie mu to było przeciwne. Szukał też w myśli jakiegoś wybiegu, któryby go na razie przynajmniej od tego mógł uwolnić, ale go wyrwały z zadumy zapytania starca:

— No jakże?

— Ja owszem... ja gotów jestem... jeśli to potrzebne koniecznie, chociaż czas mój tak ściśle teraz obliczony. W każdym razie jeśli pan mecenas żąda tego...

— Jeśli ja żądam... no juźciż żądam, skoro mówię.

— To ja mógłbym może wziąć akta sprawy do domu, rozejrzeć się w nich, i odniósłbym jeśli pan mecenas pozwoli...

Jurysta przypatrywał mu się z uśmiechem ironicznym.

— Wziąłbyś, powiadasz, akta sprawy i odniósłbyś mi. Zapewne niedługo? Czy tak?

— Oh, tak!

— To bardzo dobrze — mówił stary.— Chodźże. — A idąc mruczał pod nosem:

— Wziąłby i odniósłby. Jacy oni pospieszni i pocieszni wszyscy.—I prowadził go do sąsiedniego pokoju, powtarzając ciągle swoje:— Wziąłby i odniósłby. Dlaczegoby nie? Weź kawalerze i odnieś. Owszem!

Stanęli przed szafą, którą adwokat roztworzył przed młodym aspirantem do studyów prawnych, i tu zobaczył Edward pliki papierów starannie powiązanych w fascykuły, inne były ponumerowane w zeszytach z nagłówkami i treścią na wierzchu. Przykra woń stęchlizny papierowej uderzyła z tej szafy.

— No bierz! — powiedział mecenas.

— Które?

— Jakto które. Bierz ot co widzisz.

— Wszystko? — pytał Edward z niedowierzaniem.

— Wszystko, ale to wszystko nie jest wszystkiem, jak ci się to zdaje zapewne.

— Więc jest jeszcze i więcej?

— A rozumie się. Masz oto tę drugą mniejszą szafę. Tu masz anneksa, dowody, i dokumenta z poprzedniego procesu. Tamci ustali bo im tchu brakło — my nie ustaniemy z pomocą Bożą, a wreszcie bliżej jak dalej już teraz. No cóż, nie spieszy ci się jak widzę?

Edward milczał.

— A! panowie młodzi, przypatrzcież się sami jacy wy to skorzy jesteście do opiniowania o wszystkiem. A cóż to ty myślałeś, robiło się przez te dwadzieścia lat blizko? To jest praca od której się umiera i pozostawia ją drugim, tak jak oto pomarli tamci, którzy tę drugą szafę zostawili—jak umarł twój ojciec. No! nie patrz tak przestraszony na te góry bibuły. Nie mam zamiaru dawać ci tego do przeczytania, bo wreszcie niebyś nie zrozumiał z tego wszystkiego. Ja ci oto wybiorę to co będzie bardziej zajmującem, a co cię oświeci zarazem o co nam chodziło i o co tobie iść powinno. Chodź, przyniosą nam czego potrzeba.

I zawoławszy jednego z dependentów, dawał mu po cichu objaśnienie jakieś czy instrukcyą. Kiedy po jakimś kwadransie przyniósł mecenasowi podwiązany jego starannie owinięty i owiązany plik papierów, odezwał się do Edwarda stary, wręczając mu tę pakę.

— No rozejrzyjno się w tem najprzód. Będziesz miał na tydzień przynajmniej roboty. Przyjdziesz do mnie jak skończysz.

Edward skłoniwszy się opuszczał pokój w milczeniu i nie słyszał nawet jak stary mruczał sobie pod nosem, drwiąco na niego spoglądając:

— Połknij no to paniczu najprzód. Zobaczymy czy przyjdziesz tu drugim razem taki wykrochmalony jak jesteś dzisiaj. Zdaje mi się, że na pierwszy raz ta doza podziała. Elegant! jak on to o tej komplanacyi odrazu usłyszał, kiedy mi się wyrwało licho wie po co i na co. Próżniaki! Letkiewicze! Poczekaj! Zakurzy się z czupryny i tobie, tak jak się kurzyło innym.

Chwilowo zbudzone zaciekawienie Edwarda, wzmianką o możliwości ugody i zakończeniu tym sposobem tyloletnich sporów — zaciekawienie w lot pochwycone przez biegłego znawcę charakterów ludzkich, zatarło się doszczętnie prawie propozycyą długich studyów i wielkiego mozołu, jakiego wymagałoby z pewnością gruntowniejsze obznajmienie się ze sprawą. Ma bo już to do siebie młodość, że po doraźną korzyść czy po owoc dojrzały, bodaj się w przepaść pogrążyć — bodaj na wyżyny wdzierać gotowa, natomiast wszelkie odległe tryumfy, pracowite a wytrwałe wyczekiwanie rezultatów nie dla niej jest zupełnie.

Niby olśniewająca błyskawica zamigotała przed wyobraźnią młodego człowieka możliwość rehabilitacyi ojcowskiego nazwiska, zepchnięcie z bark nienawistnej odpowiedzialności, byt materyalny niezależny, przez który on w tej chwili rozumiał jedynie rychlejsze połączenie się z kochaną kobietą, ale skoro prostujący gadatliwość własną adwokat wmówił weń, że mu się przesłyszało, że o zgodzie właściwie marzyć w tych warunkach jeszcze nie można, uspokoił się szybko, a raczej powrócił do pierwotnej obojętności z jaką przekraczał te progi.

Konkludującym sensem jego zapatrywań, gdy wychodził od adwokata było coś w tym rodzaju: „Niechaj że on prowadzi sobie to wszystko, skoro taka jego wola. Wygra — tem lepiej dla niego i dla mnie — przegra, ja nie tracę nic, a sumienie wyniosę czyste w każdym wypadku, bo wreszcie czyżby największe wysiłki moje zaważć tu mogły cokolwiek. O długach ojca pomyślę, gdy sobie zdobędę stanowisko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

HERBATĘ

rozw. pod banderolą rządową

Skład **Krakowskie-Przedmieście** *róg Trębackiej,* w WARSZAWIE, **№ 23.**

poleca

Samowary, TACE, NOŻE stoł., MASZYNKI do kawy, SZCZOTY i t. p.

M. MASZKOW.

3783

Nieporównanej dobroci

MYDŁO TATRZAŃSKIE

w 4 ch pięknych zapachach

FIJOŁEK, RÓŻA, KONWALIA i BUKIET TATRA

specyalność

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Cena kop. 15.

W najwyższym gatunku 25 k. i 45 k.

Dostać można: w mag. W. L. Ch. 1) Miodowa Nr 1. 2) Graniczna Nr 2. 3) Krak.-Przedmieś. Nr 1. 4) Róg Marszałkowskiej i Wspólnej. 382610

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

nauczycielki 2-go gimnazyum. Szkoła Froeblowska **W Warszawie, Wspólna 40.** 3391526

Wydawnictwo MAURYCEGO ORGELBRANDA w Warszawie.

Od dnia 15 Grudnia 1893 r., wychodzi zeszytami w odstępach 15-to dniowych:

Geografia powszechna illustrowana

Amanda Schweiger-Lerchenfelda.

Przełożył i uzupełnił **Dr Karol Jurkiewicz,** b. Profesor Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

Geografia powszechna illustrowana wyjdzie w dwóch tomach wielkiego formatu, obejmujących około 1,100 stronnic, z 500 blizko illustracyami w tekście, na wytwornym papierze, drukiem nowym, czystym i wyraźnym. Dla ułatwienia nabycia, wychodzi zeszytami, w liczbie około 45, ukazującemi się co dni 15 po cenie 25 kop. za zeszyt, pocztą kop. 30. Opłacający z góry za całe dzieło rs. 10 lub w dwóch ratach po rs. 5 (przy zapisaniu się i przy odbiorze 15 zeszytu) otrzymają dzieło kompletne, bez względu na liczbę zeszytów.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się rs. 2 za całe dzieło. Prenumerujący pocztą, a nie opłacający z góry rs. 12 lub w dwóch ratach po rs. 6 razem z przesyłką, mogą nadsyłać po rs. *dwa* lub *trzy*, a otrzymają za tę kwotę odpowiednią ilość zeszytów. Prenumeratorowie pocztowi otrzymywać będą miesięcznie po 2 zeszyty razem.

4112

GAZETA POLSKA

NAJWIĘKSZY DZIENNIK POLSKI,

wychodzi w Warszawie,

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Po ukończeniu wielkiej powieści Henryka Sienkiewicza pod tytułem „QUO VADIS," zaczęła „GAZETA POLSKA" drukować nieznaną dwutomową powieść

J. I. KRASZEWSKIEGO

42334

pod tytułem:

„NERA,"

napisaną w okresie czasu między wyjściem z więzienia w Magdeburgu a zgonem.

NOWI ABONENCI „Gazety Polskiej," którzy ją zaprenumerują (najmniej na kwartał) od 1 Kwietnia r. 1896, otrzymają wszystkie początkowe feljetony „NERY" **BEZPŁATNIE.**

Cena „Gazety Polskiej:" W Warszawie: Rocznie rs. 9.60 Półrocznie rs 4.80 Kwartalnie rs. 2.40 Miesięcznie kop. 80 z odnoszeniem do domu.

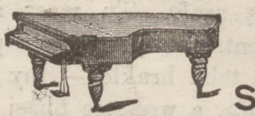
Na Prowincyi: Rocznie rs. 12 Półrocznie rs 6 Kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej:" Warszawa, Warecka Nr 14.

Agentura „Gaz. Pols." w Łodzi: przy Księgarni R. Schatke'go, ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w „Gaz. Polskiej"** ze względu na jej poczytność.

Warszawa, Mazowiecka Nr 16,



Największe W KRAJU SKŁADY

FORTEPIANÓW, PIANIN *I ORGANÓW*

HERMAN GROSSMAN

FILIE:

St-Petersburg *ul. MORSKA 33,*

MOSKWA Kuźniecki Most,

LUBLIN Królewska Nr 207.

SPRZEDAŻ NA RATY po rs. 25 miesięcznie.



Wynajem.

Illustrowane katalogi gratis. 41546

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. „SAMOUCZEK" **POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie.** 418224

Znakomite dzieło D ra **Ernesta Brücke'go,** Profesora fizyologii Uniwersytetu Wiedeńskiego, p. t.:

Jak ochraniać Życie i zdrowie dzieci?

w tłómaczeniu polskiem przez M. Flauma, opuściło prasę i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po Rs. **1,** z przesyłką pocztową Rs. **1** kop. **15.** 38358

Zamówienia z prowincyi za zaliczeniem pocztowem, natychmiast są załatwiane.

Adres: S. LEWENTAL, Wydawca, w Warszawie, Nowy-Świat Nr 41.

EAU VÉGÉTALE (WODA ROŚLINNA).

Najlepsza i najpewniejsza do farbowania włosów na kolory Châtain, Brun i Noir. 42226

Od wielu lat jak środek ten pojawił się w Warszawie i coraz zjednywa sobie liczniejszy zastęp klienteli, **Eau Végétale** zaraz po użyciu zamienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny nie brudząc ciała ani bielizny, nie pozostawia po sobie rudawych odcieni, ale nadaje kolor naturalny i trwały. **Eau Végétale** jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena kompletu rs. 2.50, bez szczotek i pudełka rs. 1.80, za wysyłkę pocztową 50 k., za granicę 75 k. drożej. Upraszam osoby wypisujące, aby w listach załączały próbki swoich włosów, co da mi możność wysłania najstosowniejszej wody. Skład główny w Magazynie Fryzyerskim od 47 lat istniejącym pod firmą **T. Markowski,** Bielańska Nr 2 **W. Kwiatkowski** sukcessor, i w pierwszorzędnych Magazynach Perfumeryjnych

KALENDARZ OGRODNICZY

na r. 1896 wraz z **Cennikiem Nasion** mojego zakładu, wysyłam bezpłatnie i franco na każde żądanie

F. BARDET,

Senatorska 35, w Warszawie. 42511

B. p. PRACOWNICA zakładu

Św. MARTY, 42134

mam zaszczyt podać do wiadomości Szanownej Publiczności, że przeniosłam magazyn bielizny z ulicy Wilczej Nr 18 na ulicę **Mokotowską Nr 21,** przyjmuję obstalunki z własnych i powierzonych materyałów, a także wyprawy, znaczenie bielizny i wszelkie ręczne hafty, z czem polecam się łaskawym względom **Wiśniewska.**

COIFFURY

rautowe, wizytowe z przybraniem efektów dżetowych, grzebieni i szpilek brylantowych. Wykonywane przez najdolniejszych Coiffeurów podług żurnali **Auguste Petit, Dondel, Professeurs de l'academie de Paris**

W SALONACH FIRMY

LUDWIK

w Hotelu Europejskim.

42611

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Февраля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**